



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE,
POŚWIĘCONE OPISOM ZIEM, LUDÓW, PODRÓŻY, ZJAWISK PRZYRODY I WYNALEZKÓW.

Nr 4

Warszawa, d. 23 (10) Stycznia 1904 r.

Rok III.

Michał Brensztejn.

ŻMUJDŹ i ŻMUJDZINI.

(Szkic monograficzny).



(Dalszy ciąg.)

Epoka lodowców wszystkie formacje, znajdujące się na przestrzeni ziemi żmujdzkiej, pokryła warstwą glin i piasków. Zarówno

i działalności erozyjnej wód polodowcowego okresu (podyluwjalnego) zawdzięczają swe powstanie wszystkie bez wyjątku wyniosłości żmujdzkie, jak i całej polsko-litewskiej równiny.

Obwód Żmujdzi stanowi dalszy ciąg, a raczej zakończenie pochyłości, zaczynającej się od błot pińskich i gubiącej się w falach Bałtyku. Pochyłość ta atoli w swym biegu na przestrzeni Żmujdzi natrafia na poprzeczną



„Pie-Kafnas” nad rz. Wentą w m. Popielanach w pow. szawelskim. Fotogr. Ludwik Krzywicki, w r. 1902.

zaporę. Jest nią długi, przerwany i rozkrzewiony w licznych odnogach bocznych łańcuch wzgórz, zaczynający się w głębi południowej Kurlandji, przesuwany się w kierunku południowym przez powiat telszewski i część rossiejńskiego i swym południowym końcem sięgający ujścia rzeki *Okmiany* do rz. *Jury*. Łańcuch ten przecina niejako Żmujdź całą wpoprzek, dzieląc ją na dwie nierówne części. Wschodnia—obejmuje powiaty poniewieński, kowieński, szawelski i znaczną część rossiejńskiego aż do Niemna i tworzy równinę, zniżającą się ku południowi, ku dolinie Niemna, i ku północy, ku nizinom Kurlandji, oraz wznosi się nieco na brzegu zachodnim w pobliżu gór telszewskich. Równina ta sfalowana jest tylko na wybrzeżach rzek większych, a góry chronią ją od chłodnych i wilgotnych podmuchów wiatrów. Część zachodnia spada od gór telszewskich wraz z licznymi ich odnogami ku brzegom Bałtyku, będąc otwartą na chłód i wilgoć morską.

W ogólności biorąc, łańcuch wzgórz zachodniej Żmujdzi nie należy do wysokich, natomiast jest bardzo w boki rozkrzewiony, wypełniając sobą cały pow. telszewski i większą część rossiejńskiego. Najwyższym szczytem, wynoszącym 766,4 stóp angielsk., jest góra *Medwegale*, znajdująca się prawie przy samym końcu łańcucha w pow. rossiejńskim. Znacznie już niższą od niej, bo 745,9 stóp wysoką, jest góra *Szatrja*, kończąca w odległości 3 wiorst od m. *Łuknik* wschodnią odnogę. Na górze tej, głośniej w dziejach Żmujdzi z bytności na niej w r. 1413 Jagiełły z Witoldem, jeszcze w pierwszych dziesiątkach lat w. XIX palono czarowników na mocy wyroków sądowych, o czym opowiemy niżej. Wyniosłości w granicach pow. rossiejńskiego są znacznie wyższe od telszewskich, z których znaczniejszymi są: wzgórze *Łopajcie*—687,5, *Knasze*—639, *Szydłów*—507,4, *Chwejdany*—504,1 i *Norgieliszki* (około Betygoły)—427 stóp angielskich¹⁾.

Pod względem geognostycznym wzgórze żmujdzkie, według badań A. Giedroycia²⁾, posiadają skład następujący: najwyższe szczyty pow. telszewskiego i rossiejńskiego pokryte są piaszczystą gliną z głazami narzutowymi, oraz piaskiem lodowcowym i żwirem; południowy stok wyniosłości zatrzymał obfite na-

gromadzenie głazów narzutowych, oraz uwarstwienie ze żwirów i piasków; dalej na południe w pow. rossiejńskim i zachodniej części pow. kowieńskiego napotyka się uwarstwowany margiel lodowcowy czerwony i margiel pyłowy, pokryte aluwjalnymi piaskami i żwirami. Dla tego też część południowa pow. rossiejńskiego i kowieńskiego nad Niemnem, pomimo nizin, jest miejscami bardzo urodzajna, zależnie od grubości żwirów i piasków, leżących na warstwie marglowej. Miejscami na warstwie tej leży czarnoziem miejscowy, lecz przeważnie wilgotny. Szczyty i zbocza (nie przekraczające 15°) po części pokryte są łasami, po części uprawne i plenne nawet przy dobrej uprawie.

Szczególnie wybitną pamiątką po epoce polodowcowej na powierzchni Żmujdzi pozostała olbrzymia ilość głazów narzutowych, czyli tak zwanych bloków eratycznych, oraz moren. Rozsiane są one na całej przestrzeni, wszakże odróżnić można trzy szlaki tych głazów, którymi one się posuwały. Wszystkie zaczynają się od północy i dążą w kierunku południowo-wschodnim. Najdłuższa linja wschodnia, mająca przeszło milę szerokości, wychodzi z Kurlandji od rz. *Wodoksty* (dopływ rz. *Wenty*) około m. *Łajżewa*, przecina wpoprzek pow. szawelski przez *Okmiany* i *Meszkucie*, w pobliżu *Pokroja* wkracza do pow. poniewieskiego, przecina pow. wilkomierski aż do *Taurogów*, wpada do pow. święciańskiego i ginie w wilejskim gub. wileńskiej. Drugi szlak, znacznie od poprzedniego krótszy, niemniej atoli szeroki, przebiega przez pow. szawelski i wkroczywszy do pow. kowieńskiego, kończy się w okolicy m. *Datnoui*. Trzeci zaś, najkrótszy szlak, zaczyna się w południowo-zachodnim krańcu pow. telszewskiego pod *Powondeniem* i kończy się za *Szydłowem* w pow. rossiejńskim. Jak wielka ilość była tu tych głazów dowodzi fakt, iż z nich zbudowano rysko tauroską szosę, przecinającą całą Żmujdź wpoprzek na przestrzeni 38 mil, mnóstwo dróg pocztowych, w niektórych zaś okolicach, jak nad granicą pruską w pow. telszewskim, w celu oczyszczenia pól, układano wiorstowej długości płoty; takie płoty murywane otaczają wiele kościołów, cmentarzy itd. Spotyka się tu najrozmaitsze gatunki kamieni skandynawskich i finlandzkich, jak: *granity*, *gnejsy*, *porfiry*, *djoryty*, *sjenity*, służące za przesłiczny materiał do robót kamieniarskich, a wśród tych brył przechowują się rzadkie ska-

¹⁾ Afanasjew. Kowienszkaja gubernia, str. 58—59.

²⁾ Poszukiwania geologiczne w r. 1878 „Pamiętnik Fizjograficzny“ t. VI (1886 r.) str. 26.

mieniałości, jak naprzykład w *Gorzdach* cztery gatunki, pochodzące z wyspy szwedzkiej *Gottland*, w *Meszkućciach* również stamtąd, w *Retowie* z okolic *Wezenberga* w Estonji, w *Taurogach* *belemnites* z epoki kredowej, *Kiejdanach* z południowej Szwecji, *Polepiu* korale górno-sylurskie i krynoidy i t. p. ¹⁾ W bryle granitu w maj. *Kajryszki* na prawym brzegu rz. *Wirwity*, kilka wiorst od m. *Tryszki*, ok. roku 1879 znaleziono kryształy granatów. Pomimo takiej zamożności pod względem zabytków geognostycznych, *Żmujdz* jest niesłychanie ubogą w bogactwa mineralne.

Tradycja, jak i liczne nazwy miejscowości wskazują na możliwość istnienia, jeżeli nie pokładów *sol*i, to słonych źródeł. A więc, według tradycji, sól ma się znajdować: we wsi *Szławejty* w parafji dorbiańskiej pow. telszewskiego nad rz. *Okmianą*, gdzie nawet niegdyś sól kopać miano ²⁾, oraz pod najwyższą na *Żmujdzi* górą *Medwegalis* w pow. rossiejńskim, gdzie niegdyś w żwirze znaleźć miano całą bryłę soli ³⁾. Źródła słonej wody mają być we wsi *Minkie*, 11 w. na połud.-zachód od m. *Żagor* w pow. szawelskim, źródło takie wytrysnęło obficie w r. 1834 i do r. 1862 jeszcze płynęło nad rz. *Niewiażą* we wsi *Wilczatowo* i w wielu innych miejscach ⁴⁾. Miejscowości o nazwach, mających za źródłosłów pierwiastek „sur“ (od rzeczownika *surybe* albo *surumas*—słoność) odnalazłem w słowniku geograficznym ziemi *żmujdzkiej* z wieku XVI ⁵⁾ — dziesięć, a mianowicie w powiatach telszewskim, szawelskim i rossiejńskim: *Surajki-szki*, *Surajnie*, *Surbikła*, *Surbliżki*, *Surenie*, *Sur-upie* i *Sures-upie* (słona-rzeka), *Surwiliszki*, *Surwiłajcie* i *Surwiły*, oraz od wyrazu „druskas“—sól: *Druskiele*. W celu stwierdzenia, ile prawdy się mieści w tradycji znajdowania się na *Żmujdzi* soli — wysłany został przez rząd w r. 1820 w okolice *Worn* Ignacy *Lachnicki*, lecz—jak twierdzi *Włodzimierz Gadon*—zabawił tu czas krótki, żadnych poszukiwań nie czynił i wreszcie wydał opinię, wręcz nieprzychylną dla sprawy.

Natomiast niewątpliwą jest rzeczą, iż ru-

da żelazna znajduje się w pow. telszewskim pod *Korcianami*, we wsi *Rubeżajcie* pod *Telszami*, w *Gadonowie* (7 w. na północ od *Telsz*) i w okolicy *Satant* ⁶⁾ oraz w pow. szawelskim w formacji jurajskiej w *Popielanach*, czyli na przestrzeni północno-zachodniej *Żmujdzi* między rzekami *Okmianą* i *Wentą*. W roku 1853 delegowany został przez rząd do *Popielan* pułkownik *Komarow* w celu dokonania prób. Przekopał on kilka szacht, w których znalazł pokład skalnego wapienia wraz z rudą, dającą się wytapiać z łatwością, wszakże warstwa



Z okolic Telsz. Fotogr. L. Andrzejewski.

jej była tak cienką, że eksploatacja hutnicza nie opłacała się ⁷⁾.

Okolo r. 1828 inżynierowie rządowi znaleźli w pow. telszewskim między *Kęstajcami* a *Olsiadami* i między *Żoranami* a *Twerami* obfity pokład *rudy miedzianej* ⁸⁾.

W części pow. poniewieskiego za wschodnią granicą *Żmujdzi*, nieopodal rz. *Muszy*, wrzyna się od strony *Kurlandji* aż do *Poswo-*

¹⁾ Siemiradzki. Nasze głazy narzutowe. „Pam. Fizjogr.“ t. II (r. 1882) str. 121—122.

²⁾ Gadon *Włodz.* Statystyka *Żmujdzi*, str. 32.

³⁾ Ks. *Kossarzewski* w „Piśmie zbior. wileńsk.“ na r. 1862, str. 196.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ *Sprogis Jan.* Geograf. słowar dREWNEJ zOMOJTSKOJ ziemi XVI stoł. Wilno r. 1888.

⁶⁾ Statystyka *Xięstwa Żmujdzkiego*, str. 33.

⁷⁾ Pismo zbiorowe wileńskie na r. 1862, str. 197.

⁸⁾ Statyst X. *Żmujdzk.* Tamże.

ta i *Pompian* 40-to wiorstowej długości i miłowej szerokości pas warstwy kredowej pod najurodzajniejszą z całej gubernji kowieńskiej glebę. Pokład ten w biegu swoim niejednokrotnie przedziera się w granicę Żmujdzi, zarówno jak i wytryskające z niego w wielu innych miejscach źródła siarczane o temperaturze + 6° Réam. Jeżeli wierzyć Ignacemu Buszyńskiemu ¹⁾ to nawet w odległości kilkudziesięciu wiorst na połud.-zachód od źródeł poniewieskich nad brzegiem rz. *Dubissy* również w wielu miejscach ujawniają się źródła siarczane, a zwłaszcza w *Podubisiu* Zwanowskich.

Wspomniany wyżej *bursztyn, skała wapienna* nad rzekami *Muszą, Świętą, Kroją, Minją* i *Szuszwą*, siwak (wapień kredowy) na powierzchni zachodniej Żmujdzi i wreszcie piaskowiec, dający się ciosać na tafle, nad rzekami *Jurą, Muszą, Wentą* i *Niewiażą*—wyczerpują w zupełności spis produktów mineralnych Żmujdzi, jeżeli nie wspomnimy o tradycyjnym przekonaniu ludu, że w wielu miejscowościach znajdują się kruszce szlachetne.

Wygląd zewnętrzny zagród włościańskich i zamożność ludu oddawna wytworzyły niezasłużone mniemanie o nadzwyczajnej żyzności gleby żmujdzkiej. Tymczasem tylko północno-wschodnia część Żmujdzi, obejmująca pow. poniewieski, część wschodnią szawelskiego, północno - wschodnią rossiejńskiego i północną kowieńskiego (mniej więcej między źródłem rz. *Muszy*, a rzekami *Łuknią* (dopływ *Dubissy*), ujściem rz. *Szuszwy* do *Niewiaży* i samą *Niewiażą*) tworzy obszar gleby istotnie urodzajnej. W dalszym ciągu ku zachodowi t. j. zachodnia część pow. szawelskiego i północno-wschodnia pow. telszewskiego, oraz zachodnia część niziny od ujścia *Niemna* do *Rossiejń*, obejmująca część pow. *kłajpedzkiego* i *rossiejńskiego*, wprawdzie jeszcze są żyzne, lecz już w stopniu znacznie niższym. Reszta, stanowiąca trzecią część Żmujdzi, na zachód od linii, przeprowadzonej przez miasteczka: *Szkudy, Masiady, Kalwarję, Olsiady, Wornie* i *Kołtyniany* jest piaszczystą i żwirowatą, wymagającą niezwykle troskliwej uprawy i wielkiej masy nawozów sztucznych, a nadmorski skrawek w okolicach *Połągi* jest szczerym piachem, użyznanym z dobrym rezultatem za pomocą zbieranego

i fermentowanego w kupach wodorostu morskigo, w jesieni obficie wyrzucanego przez fale. Część południowo-zachodnia pow. rossiejńskiego i *kłajpedzkiego*—są to moczary.

Pomimo to gleba żmujdzka jest znacznie urodzajniejsza od gruntów gub. wileńskiej lub nizin *Polesia*.

Być może, iż jak na szkic kraju, przeznaczony dla liczniejszego grona czytelników, poświęciłem opisowi geologicznemu miejsca zbyt wiele. Niech mnie wytłómaczy ta okoliczność, iż, mówiąc o *ziemi*, tej części jej charakterystyki pominąć nie mogłem, tymbardziej, iż w dotychczasowych opisach Żmujdzi dział ten był albo zgoła opuszczany, lub tylko do kilku słów skracany. (C. d. n.)

Surowice w leczeniu gruźlicy.

Walka z gruźlicą należy do najważniejszych zadań i najpopularniejszych haseł doby bieżącej. Od czasu, gdy dzięki pracom bakterjologów, zwłaszcza słynnego *Kocha*, została zbadana istota gruźlicy, od czasu, kiedy okazało się, że stanowi ona najczęstszą przyczynę śmierci i pochłania setki tysięcy ofiar rocznie, konieczność walki z gruźlicą stała się oczywistą i zajęła jedno z najpierwszych miejsc wśród postulatów społeczno-narodowych. Badania i obserwacje lekarskie wykazały, że tylko w ostatnich okresach choroby i w szczególnie ciężkich postaciach, gruźlica jest nieuleczalną, natomiast lżejsze postaci poddają się leczeniu, a często i bez leczenia ulegają samoleczącej sile natury. Oględziny pośmierne osób, zmarłych z powodu innych chorób, wykazują, że wielu ludzi przechodziło w swoim czasie gruźlicę i wyleczyło się z niej, często nie wiedząc wcale o niebezpieczeństwie, jakie im groziło. Fakt uleczalności gruźlicy jest bardzo ważny, gdyż dowodzi, że szukanie środków przeciwko niej nie jest pracą cczą i w zasadzie bezowocną. Ponieważ zarazki gruźlicze znajdują się wszędzie i na każdym kroku grożą człowiekowi, więc jeżeli wielu ludzi nie ulega wcale zakażeniu, albo też, choć ulegnie, potrafi je zwalczyć, dowodzi to, że ustrój ludzki posiada środki obrony przeciwko gruźlicy, zadaniem zaś medycyny dopomóc mu w tej walce, wyszukać warunki, w jakich wyleczenie najłatwiej nastąpić może.

¹⁾ Dubissa, główna rzeka w dawnym Księstwie Żmujdzkim. Wilno r. 1871, str. 9 i 32.

Do wyleczenia gruźlicy dążyć można różnymi drogami. Na pierwszym miejscu przy obecnym stanie wiedzy postawić należy metodę djetetyczno-higieniczną. Metoda ta nie tylko jest uzasadniona teoretycznie, ale, co najważniejsza, opiera się na doświadczeniu i jest oddawna wypróbowana. Polega ona na poddawaniu chorych działaniu takich czynników fizycznych, jak słońce i czyste powietrze, na stosowaniu spokoju, zdrowego i obfitego pożywienia i bardzo nieznacznej tylko ilości środków aptecznych. Drogą tą osiągamy zahartowanie i ogólne uodpornienie ustroju, a tym samym dopomagamy mu w skutecznej walce z zakażeniem. Metoda djetetyczno-klimatyczna daje w porównaniu z innymi metodami najlepsze, jak dotąd, wyniki. Nie można jednak metody tej uważać za ostatnie słowo nauki: często zawodzi ona, pomimo najsumienniejszego stosowania. To też medycyna poszukuje wciąż nowych środków, nowych dróg dla rozwiązania kwestji. Najwięcej widoków powodzenia w ostatnich czasach zdaje się posiadać metoda swoistego uodpornienia ustroju za pomocą samych zarazków gruźliczych i produktów ich działalności życiowej; metoda bakterjologiczna, która w dziedzinie pewnych chorób, jak ospa, wścieklizna, błonica i inne, święci prawdziwe tryumfy. Zastosowanie tej metody do gruźlicy opiera się na poważnych teoretycznych podstawach i oddawna już stanowi przedmiot poszukiwań wielu wybitnych uczonych. Metoda bakterjologiczna, zwana inaczej „swoistą,” opiera się na następujących danych. Pod wpływem działania danych zarazków na ustrój człowieka lub zwierzęcia, w surowicy krwi jego powstają, jak to wykazały badania, tak zwane *antytoksyny*. Substancje te mają własność zabijania bakterji, pod wpływem których powstały i niszczenia trujących substancji, przez nie wytwarzanych.

Jeżelibyśmy byli w stanie dostarczyć ustrojowi tych antytoksyn w ilości dostatecznej dla zwalczania zakażenia, sprawa byłaby wygrana. Dla osiągnięcia tego celu istnieją dwie drogi. Pierwszą jest droga szczepień. Szczepiąc ustrojowi systematycznie małe, potem coraz większe ilości bakterji lub produktów ich życia, wyrabiamy w nim stopniowo coraz większą odporność przez wytwarzanie coraz większych ilości antytoksyn. Druga droga jest pośrednia i polega na wprowadzeniu do ustroju gotowych antytoksyn, wytworzonych w ustroju innego uodpornionego zwierzęcia.

Jest to metoda leczenia surowicami, czyli *seroterapia*: zasadza się ona na wstrzykiwaniu pod skórę chorego osobnika surowicy krwi zwierzęcia, któremu uprzednio w celu uodpornienia wstrzykiwano systematycznie coraz większe dawki zarazków chorobotwórczych. Tym sposobem ustrój bez udziału własnych czynników obronnych, otrzymuje w surowicy gotową odporność, którą można nazwać odpornością *bierną* w odróżnieniu od odporności *czynnej*, jaką ustrój sam sobie wytwarza przy metodzie szczepiennej. Teoretycznie obie drogi prowadzą do celu i wydają się bardzo proste. Tymczasem w praktycznym zastosowaniu powstają niezliczone przeszkody i trudności. W zastosowaniu do gruźlicy trudności te były, jak dotąd, nieprzezwyciężone. Polegają one na znalezieniu odpowiedniego podłoża dla hodowli laseczników gruźliczych, na otrzymaniu izolowanych laseczników i toksyn, przez nie wytwarzanych, na otrzymywaniu surowic, wreszcie na wypracowaniu metody szczepienia resp. stosowania surowic i na wypróbowaniu jej na ludziach. Ten ostatni wzgląd jest najważniejszy, gdyż w żadnym razie nie wolno, stosując niewypróbowaną dostatecznie metodę, narażać człowieka na niebezpieczeństwo. Pierwszą więcej znaną próbą swoistego leczenia gruźlicy była głośna w swoim czasie metoda Kocha, polegająca na szczepieniu chorym wynalezionej przez tego uczzonego *tuberkuliny*, która miała być toksyną, wytwarzaną przez laseczniki gruźlicze. Nadzieje, pokładane na tej próbie, okazały się najzupełniej płonnymi. Po nieudaniu się tej pierwszej próby zapal ostrygł i długi czas w nauce panowała zupełna cisza pod tym względem. Dopiero w ostatnich miesiącach błysnął nowy promyk nadziei dla ludzkości dzięki ogłoszonym wynikom badań kilku poważnych uczonych, a mianowicie: Moragliano, Behringa i Marmorka.

Metoda, nad którą pracuje prof. Moragliano, jest metodą szczepienną, metodą wyrabiania w ustroju odporności czynnej. Moragliano wynalazł pewien materiał szczepienny, zawierający w sobie jady gruźlicze, który szczepi on chorym na obwodzie ciała (podobnie jak ospę) i wywołuje powierzchownie niebezpieczne zapalenie gruźlicze. Ustrój, po przebyciu takiego zapalenia skórniego, powinien, podług przewidywań Moragliano, stać się odpornym i pokonać chorobę. Metody swej Moragliano nie zdążył dotąd jeszcze należycie

wypróbować, nie więc o niej pewnego rzecz nie można.

Bardzo prostą wydaje się metoda, którą tylko w ogólnym zarysie ogłosił Behring, słynny twórca surowicy przeciwbłoniczej (antydyfterytycznej). Behring ma nadzieję leczyć chorych, zwłaszcza dzieci, od gruźlicy karmieniem ich mlekiem krów uodpornionych. Szczepiąc krowom odpowiednie zarazki gruźlicze, Behring wytwarza w ich ustroju antytoksyny, zabijające laseczniki gruźlicze. Antytoksyny te przechodzą do mleka, a z mlekiem przedostają się, zdaniem Behringa, do ustroju karmionego chorego, gdzie powinny wywierać swe działanie lecznicze. Metoda Behringa jest modyfikacją zwykłej metody seroterapeutycznej.

Najwięcej rozgłosu ze wszystkich ogłoszonych dotąd prób swoistego leczenia gruźlicy zyskała sobie metoda dr. Marmorka. Jest ona więcej opracowaną od innych i polega na leczeniu chorych na gruźlicę surowicą krwi koni, uodpornionych uprzednio wstrzykiwaniami jądów gruźliczych. Marmorek doszedł do wniosku, że tuberkulina Kocha dlatego nie okazała się skuteczną w leczeniu gruźlicy, że nie zawierała w sobie właściwych toksyn czyli jądów gruźliczych, jak to sądził Koch. Marmorek wynalazł sposób otrzymywania substancji, która podług niego jest właściwą tuberkuliną, to jest rzeczywiście zawiera w sobie toksyny, wytwarzane przez laseczniki gruźlicze. Tą substancją uodpornia Marmorek konie, z których potem otrzymuje surowicę. Surowicę swą próbował Marmorek już w leczeniu rozmaitych postaci gruźlicy i przekonał się, że daje ona niekiedy dobre rezultaty, zwłaszcza przy gruźlicy kości, stawów, gruczołów, a także w początkowych okresach gruźlicy płuc.

I metoda Marmorka nie jest jednak niczym więcej, jak tylko próbą, o wartości której dopiero przyszłość orzecze. Prób takich było, prócz kilku wyżej opisanych, bardzo wiele i niepodobna opisywać wszystkich. Być może, że ostatnie usiłowania posuną sprawę naprzód, tymczasem jednak nic jeszcze nie wiadomo. Nawet sami autorowie nowych metod zastrzegają się, że do wyrzeczenia ostatecznego słowa o ich metodach jeszcze daleko. Nie cieszymy się więc przedwcześnie.

L-r. Zygmunt Grudziński.

PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie

JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W wklęsłościach znowu tych kształtów krągłych miejscami rośliny puściły pędy, rośliny o wyglądzie nieprawdopodobnym, tak bowiem są świetne i strojne na tle barwy szaro-miedzianej; barwinek nazbyt różowy, hibiskusy nazbyt czerwone i młode arekarje nazbyt przepysznej zieleni, podobne do pióropuszków z końcami łodyg trzciniowych.

Poza grupą skał ukryty mały domek starożytny dla bonzów stróżujących—i oto jeden z nich idzie na moje spotkanie; jest to młodzieniec udrapowany, jak wszyscy buddyści, w togę pięknego koloru szafranowego, z obnażoną wzdłuż ręką aż poza ramię. By otworzyć mi świątnię, niesie on klucz ozdobny, długi na stopę z górą. Z oczyma tęskniemi piękną swą postacią, poważną pod tym słońcem świecącym, czyni wrażenie św. Piotra, wykutego z miedzi czerwonej, odzianego w miedz żółtą.

Śród grząd kraśnych barwinków, schodkami, ciętymi w skale, kroczymy do góry; dżungla dokoła jeszcze bardziej rozszerza swój okrąg pustynny.

Na pół wysokości głównego złomu, w samym sercu twardej skały, znajduje się wydrążona świątynia. Naprzód mała celka, rodzaj *atrium*, zawierająca stół ofiarniczy, przykryty świeżym obruskiem śnieżnych gardenji: w głębi wejście do miejsca najświętszego, zamknięte dwoma oddrzwiemi bronzowemi z olbrzymim zamkiem kunsztownym.

Gdy z trzaskiem metalu rozwarły się podwoje od głębi, ukazując bałwany malowane, rzekłbyś, odpieczętowano nagle jakieś naczynie z najdroższymi wonnościami: olejek różany i sandałowy, codziennie tu rozlewany, zapach gardenji i tuberoz, które jak śniegiem zaścietają podłogę, balsamem aż poją. Bogowie, tu przebywający, w ciemności ciągłej podziemia, kąpią się bezustannie w tych woniach wyszukanych.

W wąskiej świątyni, ścięsnionej jak szafa i zapchanej posągami bez liku, miejsca za ledwie dla czterech do pięciu osób. Boginie

dwunastostopowej wysokości, kute w teje skale, z ciałami jedno przy drugim, zdobia ściany dokoła; lica ich żółte, jak szata na bonzie, a włosy sięgają sklepienia. Budda wielkości nadnaturalnej zasiadł pomiędzy niemi z wyrazem stałym marzycielstwa, a bogi pomniejsze, wielkości lalek, tłoczą się do stóp jego, pod wzrokiem ciągłym tych bogiń-olbrzymek, co tworzą dokoła jakby krąg rozmyślny. Pomimo świetności ich ozdób złotych, pomimo barw świeżych jeszcze ich szat kamiennych, niebieskich i czerwonych, wszystkie te postaci z wydłużonemi oczyma robią wrażenie przerażającej prawie dawności.

Niespodziana wizyta moja wpuściła do grotty trochę dnia, pozwalając im poprzez próg otwarty wejrzeć na dżunglę daleką, gdzie w czasy zamierchłe żył lud je czczący. Patrząc na nie przez chwilę, niemal zawstydzony tak blizkim, tak czelnym oko w oko z niemi obcowaniem — i proszę kapłana, by zamknął tę świętą szafę. Niech skały tej obywatele pograżą się z powrotem w swej ciszy uroczystej i w swych wonnych ciemnościach!

Wychodzę stąd, obcy jeszcze tym symbolom, tej buddyjskiej pociesze—żółto-barwny mój dozorca wraca spokojnie do swej celi zakonnej—kapłan dziwnego nabożeństwa, nie znający żadnego trudu ziemskiego, prócz zbierania kwiatów, żyjący bez trosk i radości pośrodku tego grobowca i nie rojący o niczym, prócz o przedłużeniu po za swe doczesne jestestwo bytu swego — w bezmiar wieczności tęsknej — bezmiennej.



Słońce się opuszczało, gdym rzucił dżunglę z tą skalną świątynią i wracał w las wysokopienny, gdzie śpi miasto Anaradhapura. Jutro o brzasku muszę stąd wyruszać, wolę więc błędzić do nocy wśród zwalisk.

„Największemi ulicami są: ulica księżycowa, królewska, piaskowa i czwarta. Na ulicy księżycowej znajduje się jedenaście tysięcy domów.“

„Odległość od wrót głównych do południowych wynosi szesnaście tysięcy domów: od wrót północnych do wrót południowych również szesnaście tysięcy.“

Istotnie w tym lesie niema końca złomom kamiennym, szczątkom, rzeźbom o tym stylu odległym: bóstwa, przybrane w tjary; potwory heraldyczne z tułowiem krokodylim, z trąbą słońca i ogonem ptaka. I wszędy kolumny,

jedne, stojące i znaczące dawne rzędy, drugie zwalone w nieporządku. I wszędy progi domostw rozwalonych, gdzie z każdej strony węgła boginka, do dzisiaj uśmiechnięta, zaprasza was w gościnę wśród pędów z paproci — do tych obywateli, którzy w zamierchłą noc czasów byli bez wątpienia gościnni, lecz których proch nawet już dzisiaj zatarty.

Czerwona zorza wieczorna zastaje mnie zdaleka od domostwa, gdzie znalazł przytułek, w dzielnicy pałaców królewskich, z których pozostały jeno podłoża cyklopiczne, schody i krużganki rzeźbione. Wokół cisza grobowa, ni głosu ptaków, ni owadów muzyki. Siadłem na skraju olbrzymiego zbiornika, mrowianego w całości z grubego granitu; był to wodopój dla słoni książęcych.

Okrag wody sennej i nenufarów tworzy jakby okno ułudne w tym lesie zwartym, wyniosłym; zwalnia ono trochę z tej opresji zielonej, chociaż powietrze tu ciężkie, nieruchome. Na powierzchni tej wody niepewnej tworzą się ciągle bąble i koła zataczają, bąble—oddechy krokodyli, które tam na spodzie w ciepłe tego naczynia królują wszechwładnie nad państwem milczącym żółwi, węzów i gadów.

W dzielnicy tej niemasz ni splotów, ni zarośli; wzrok bez przeszkody wnurza się wszędy—pod drzewa—w dale tego królestwa złomów; a oto tam na zachodzie pożar, który raptownie zapalił się u stoku ziemi; promienie jego, strzelając z poza drzew, blaskiem oślepiają; to zachód słońca; noc nad całym obszarem nasunie się niebawem.

Korzystając jeszcze ze zniroku, posuwam się dalej. Wycieczkę moją pragnę jaknajbardziej wyzyskać, bowiem to ostatnia w tych stronach.

I znowu urok niezmierny innej całkiem strefy, do której dotarłem na samym już schyłku dnia; poziomem swym łagodnym o gruncie suchym, nieco piaszczystym, pokrytym trawą drobną, wytworną, zwraca myśl mimowoli na teren lasów, tak blizkich mojemu dzieciństwu. I jakby pragnąc dać mi jeszcze więcej złudzenia mojej wsi rodzinnej, oto ścieżki się znaczą, wydeptane krokami bydła i pastuchów; oto drzewa z drobnym, ciemnym listowiem, z szaremi trzonami, jak u dębów zielonych mojej okolicy; nadto te wielkie liłje czerwone, które w oddal oczy pociągają, wszystko to samo, z tym samym pokojem pasterskim i smętkiem wieczoru.

By zbić jednak z tropu sny moje, wszędy te ruiny, te kamienie, nadto olbrzymie; wszędy te posągi z wyrazem tajemniczym — istne nawiedzenie. A mrok już rośnie i czyni prawie niepokojącemi te sylwety buddów-samotników, co marzą przykucnięci z tym zagadkowym uśmiechem—ku swej nicości.

O zmroku już zupełnym wracam inną znowu okolicą, która jeszcze bardziej tęskna i przytulna, całkiem już podobna do okolic naszego klimatu. Niosąc gdzieś w głębi mej istoty, w jakimś ukryciu, w stropieniu, obraz puszczy indyjskiej, gniotącej mnie na przestrzał tyłu mil dokoła, naraz uczuвам się zupełnie, jakby pośród dębów zielonych naszych prowincji—stąpam ufny i przeświadczony, jak śród naszych lasów. I sądząc, że sam tu jestem, naraz wstrząsam się do głębi, ujrzawszy obok siebie olbrzymiego poczciwca czarnego, z głową zwieszoną, z rękoma na biodrach: to budda granitowy, siedzący tu od lat dwu tysięcy!...

* * *

Porą wielkiej błogości religijnej jest tu zwłaszcza pora księżycowa, gdy wszystkie dagaby rzucą na przestrzeń dżungli swe cienie kolosalne. Księżyc dziś świeci całkiem niebiesko; i mam tu stanowczo podczas tej jednej nocy, spędzonej w świętym lesie, jaśnienie światła Edenu.

Przypomina ono jaśnienie naszych nocy lipcowych, najcieplejszych, najspokojniejszych, z różnicą—nie wiem, czegoś stalszego, czegoś pewniejszego, co zawsze trwa jednako i nie budzi myśli o zmianie oczekującej. W zagłębiach drzew, na strojnych polankach, ścieżkami pokreślonych, wszędy, gdzie niebo się przedrze, dziwnie widno, przejrzyście.

Pomimo muzyki nocnej owadów, która w tej chwili dzwoni zapamiętała, czujesz, że cisza wielka wsiąka w ciebie powoli—w miarę, jak w las się posuwasz.

Sam błądzę, sam kieruję kroki ku tym cieniom wieżycowym, których boją się Indowie, gdy księżyc je oznaczy; przewodnik mój, pomny na duchy królów i kapłanów, wołał mnie opuścić.

I kiedy zbliżam się do jednej z tych świątnic, instynktownie, by dotrzeć do olbrzymiej dagaby, obieram tę stronę, gdzie światło świeci najpełniej. Oto w jednej z przełęcz, bez wątpienia najbardziej nawiedzanych, gdzie był święty perystyl, pośród bogów pokruszonych,

szczałków ołtarzowych, zalanych światłem błękitnym, kroki me dziwnie od płyt odbijają. Bezmierny pokój Anaradhapury tu w tym miejscu nabiera czegoś tak wyjątkowego, że staję zalekniony, jak Indus wierzący; w rzeczy samej — nie śmiem okrążyć tej dagaby, przeniknąć w jej przekąt cienisty.

Gdzież jednak, w jakim pyle czy nirwanie są dzisiaj ci króle, ci kapłani, co wzniesli świątynie te niesłychane? z głębi takiej otchłani—czyli przyjdą ich cienie?...

I jak wreszcie cały ten buddyzm, cała ta ich wiara, jest dla mnie w tej chwili czymś martwym, spełnionym, pochowanym pod szczątkami, pod prochem zwietrzałym ich bożyszcz!

(C. d. n.)



VIII.

Rzeczki wielkiego piemienia.

W tej części Afryki południowo-wschodniej, na który cesarskie Niemcy ciężką dłoń swą położyły i dokąd po dokonanych podboju wolnych rzeczypospolitych burskich sięgnął wpływ angielski, mieszkają ludy, budzące ciekawość ogólną uczonych europejskich. Są to, powiązani z sobą węzłami wspólnego pochodzenia—Hotentoci i Buszmani. Zagadkowemi są te ludy zarówno pod względem osobliwej barwy skóry, jaśniejszej aniżeli murzyńska, jak i pod względem małego wzrostu; używają przytym języka, niezrozumiałego dla otaczających plemion czarnych. Rodzi się też zupełnie naturalne pytanie: skąd się ta szczególna rasa wzięła na tych niezmiernych przestrzeniach, już to piaskiem, już kamieniami, już wreszcie trawą nędzną pokrytych? Jedni etnografowie dowodzą, że Hotentoci i Buszmani stanowią resztkę wielkiego niegdyś plemienia, co przed wiekami całą Afrykę południową zaludniało; inni dodają jeszcze, iż oni to właśnie razem z karlim ludem, istniejącym do tej pory we wnętrzu czarnego lądu, tworzą pozostałość pierwotnej rasy na tajemnicą zasutej ziemi afrvkańskiej. Słynny

Virchow powiada, iż należy ich uważać jako ostatnie ogniwo wielkiego łańcucha ludów murzyńskich.

Hipoteza, postawiona przez tego uczonego Niemca, który w tylu wypadkach wykazał przedziwną trafność sądu, nie ma jednak dostatecznych cech ścisłości. Oczywiście jest rzeczą, iż gdyby istniało zasadnicze pokre-



Buszmanki.

wieństwo pomiędzy omawianą rasą a całym plemieniem czarnym, uwidatniłoby się ono najpierw bodaj w analogjach, płynących z języka i jego budowy, ile że mały wzrost i jasna barwa skóry dałaby się wytlómaczyć, nie mówiąc już o niektórych wyobrażeniach religijnych, warunkami klimatycznymi. Tak atoli nie jest. Karli ludek, oni starożytni Pigmeje, mieszkają na przestrzeniach urodzajnych, nie na takich jak Hotentoci, a pomimo to wyróżniają się swym małym wzrostem z pośród wysokich i silnych murzynów. Patagończycy koczują na równinach nagich i zimnych, gdzie ledwie mech i płowiejąca przedwcześnie trawa rośnie, a mimo to w zupełności zasługują na miano olbrzymów.

Robert Hartmann, który szczegółowo badał to dziwne plemię afrykańskie, znajduje w jego budowie i pewnych właściwościach psychicznych dużo podobieństwa do murzynów. To samo mniej więcej twierdzi Gustaw Fritsch, dowodząc przytym, iż jest to rasa mieszańców.

Czytając wywody podróżników i uczonych, oraz zastanawiając się nad ich przypuszczeniami, niekiedy dziwnie sprzecznymi, przychodzimy do wniosku, iż kwestja pochodzenia Buszmanów i Hotentotów zarówno w chwili

obecnej jest zagadkową, jak była zagadkową dwieście lat temu.

Dwa wieki ludzie biali, panowie kuli ziemskiej, badali to plemię zblizka i zdaleka, a rezultaty ich dociekań, pomimo pozorów, uczoności, są niemal tyle warte, co zdanie jednego z pionierów antropologii, P. Kolba, który poważnie dowodził o podobieństwie Hotentotów do Żydów i troglodytów.

Hipoteza tego niegdyś sławnego męża polega na tym, iż Holentoci są ludem pierwotnym Afryki, który w ciągu wieków mieszał się stopniowo z przybyłymi z Azji kolonistami, Żydami i Kartagińczykami, tworząc w ten sposób rodzaj mulatów, częściowo pochłanianych, częściowo zaś wypieranych ze swoich dawnych, na północy położonych siedlisk przez silniejszą rasę murzyńską. Przypuszczenie naiwne co do rasowego pomieszania się onego plemienia z Semitami, trafne jednak, gdy mowa o wypieraniu Holentotów ku południowemu zachodowi czarnego lądu.

Proces ten trwa do tej pory: Hotentoci i Buszmanci muszą się ciągle cofać przed gromadnemi zastępami Kafrów, Beczuanów, Owa-hererów (Damara) ku ziemiom nieurodzajnym i pustynnym. Krzyżowanie się trwa



Hotentoci czystej rasy.

w dalszym ciągu; już teraz czystego w typie Buszmana trzeba szukać hen w głębi pustyni Kalahari. Tu dopiero czuje on się wolnym od wszelkiego obcego wpływu i może się swobodnie oddawać jedynemu zajęciu, jakie zna, myśliwstwu.

Hotentoci nienawidzą Buszmanów, uważając ich za plemię niższe od siebie.

Podczas gdy Buszmanowi polowanie na dzikiego zwierza dostarcza środków do życia, Hotentot zajmuje się pasterstwem, którego porzucić nie chce i nie może, albowiem ziemia, którą zamieszkuje, niezdatna jest do uprawy roli.

Rasowe cechy wyraźniej występują u dzikiego Buszmana, uważanego za parję ludów afrykańskich, niż u Hotentota. Pochodzi to, zdaniem etnografów, z mniejszej odporności tego ostatniego, który, wchodząc w stosunki z sąsiednimi Kafram i Beczuanami, łączy się z nimi dość chętnie. Można też przypuścić, że z biegiem czasu nastąpi zupełne zmieszanie się tych wrogich ras w jedną całość plemienną.

Języki hotentocki i buszmański są pokrewne tak pod względem słoworodu, jako też prawie jednakowej składni, natomiast różnią się zasadniczo od języków murzyńskich.

Właściwością mowy hotentockiej są rodzaje gramatyczne, natomiast brak w niej przyimków, któremi się posiłkują sąsiednie ludy z plemienia Bantu. Pod względem brzmienia język Hotentotów jest nieprzyjemny dla ucha z powodu dużej ilości dźwięków, podobnych do kłaskania ustami, stąd też dla Europejczyka jest niezmiernie trudny do nauczenia się.

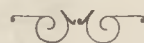
Charakterystyczne te cechy występują w formie wyraźniejszej w dialekcie buszmańskim, który wogóle do tej pory jest mniej przez lingwistów zbadany.

Ostatniemi czasy koloniści biali wzięli się do uprawy żyzniejszych kawałków tej naogół nieurodzajnej ziemi. Pług europejski wyrzucił na powierzchnię gruntu mnóstwo broni kamiennej, która niegdyś służyła Buszmanom do obrony i polowania. Próbowano określić z tej pozostałości czasów przebrzmiałych wiele, kiedy ten lud osobliwy osiedlił się w południowo-zachodniej Afryce, jednakże i w tej materji panuje pomiędzy archeologami dość znaczna różnica zdań. Wykopaliska paleolityczne, wydobyte z ziemi w krainie Hotentotów, bardzo są podobne do analogicznych wykopalisk, dokonanych na lądzie europejskim, atoli wniosków stąd identycznych wyciągnąć niepodobna. Pierwotny Europejczyk posiłkował się wprawdzie narzędziami i bronią z kamienia twardego wykutą, lecz miało to miejsce w epoce przedhi-

storycznej, kiedy tymczasem dziki Buszman dopiero przed paru wiekami je porzucił. Dowodzą te zabytki tylko tego, iż kiedy u nas już na dobre zakwitła wysoka cywilizacja, w tym zakątku afrykańskim człowiek dopiero stanął na pierwszych jej stopniach.

Obecnie o Hotentotach i Buszmanach możemy zaledwie tyle z pewnością powiedzieć, iż w nich się dochowała resztką nieznanego nam bliżej, a niegdyś bardzo licznego plemienia, które panowało przed wiekami niepodzielnie nad połową czarnego lądu.

am.



Prof. dr. L. Couturat.



O języku międzynarodowym powszechnym.



Przełożone z francuskiego
przez K. S.

Opracował do druku
Dr. B. D.

6. O łacinie jako języku międzynarodowym.

Najwłaściwszym i najbliższym rozwiązaniem, jakie się uczonym, zwłaszcza filologom i historykom nasuwa, jest przyjęcie języka łacińskiego, który był już przedtym językiem świata uczonego. Ale do tego języka stosują się wszystkie zarzuty, jakieśmy uprzednio już wskazywali, mówiąc o języku ściśle naukowym. Powtarzamy raz jeszcze, że J. M. powinien przysługiwać nie samym tylko uczonym, musi być przystępnym dla każdej średnio wykształconej osoby, nie znającej prócz ojczystej mowy żadnego innego języka, a więc dla wszystkich mężczyzn i kobiet; każdy powinien móc wyuczyć się go bez pomocy nauczyciela. Tymczasem łacina wcale warunkom rzeczonym nie odpowiada, bo widzimy, jak młodzież, po ośmioletniej nawet nauce, pod kierownictwem specjalnie do tych wykładów wytrenowanych nauczycieli, językiem tym wcale władać nie umie, bo jest to język tak trudny, jak najtrudniejszy z języków nowożytnych i przedstawia te same niedogodności i wady, co i tamte, mianowicie gramatykę i składnię, niezmiernie skomplikowaną i nieprawidłową. Jedyną zaletą języka łacińskiego jest neutralność, ma natomiast olbrzymią wadę, bo jest językiem martwym, jego budowa cała i słownictwo odpowiadają kulturze dawno minionej, nieodwołalnie już pogrzebionej. Właśnie z tej racji porzucony on został przez świat uczony, a tylko tu i owdzie siłą inercji duchowej wegietuje jeszcze na receptach i w li-

turgji. Nie sposób cofnąć stuleci, ani umarłych do życia powołać.

Byli jednak tacy, co usiłowali wskrzesić język łaciński i wlać wń nowe soki żywotne; ci utrzymywali, że łacina nagiąć się potrafi najzupełniej do wyrażenia myśli nowoczesnych i cytują przykład, zapożyczony z „*Vox urbis*,” gdzie przetłómaczono dowcipnie „bicykl” przez „*Birota velocissima*.” Taka elegancka parafraza w guście Delille’a mogłaby się dobrze nadać do wierszy łacińskich, ale w korespondencji kupieckiej albo na szyldzie sklepowym wyglądałaby niewłaściwie i śmiesznie. A ileż to się znajdzie pojęć i określeń naukowych i technicznych, dla których nie sposób wymyśleć nawet jakiejś parafrazy zrozumiałej, wyrażonej po łacinie! Ale jeżeli była już ostatnia konieczność wyboru jednego z martwych języków, głosowalibyśmy raczej za językiem greckim, daleko lepiej nadającym się do formowania nowych wyrazów i od którego już tyle terminów technicznych i naukowych zapożyczono*). Przypuśćmy jednak, że się słownik łaciński odświeży i wzbogaci nowymi wyrazami, te swoją drogą będą zawsze w oczach purystów uchodziły za barbaryzmy, jak nap. *realisare* albo rzeczownik *magazina*, użyte przez Leibnitz’a, a nadto gramatyka i składnia pozostaną pomimo to wszystko zbyt trudne, gdyż bardzo zawikłane, więc musianoby je upraszczać, sprowadzając np. wszystkie rzeczowniki do jednej tylko deklinacji, a czasowniki do jednej konjugacji, aż skaleczony w ten sposób język przestałby już być łaciną Cyncerona, lub chociażby tylko językiem Scholastyków. W ten sposób przeistoczony język łaciński stałby się jakimś sztucznym, tylko o podstawie łacińskiej, prawdziwą karykaturą starożytnego, lecz przytym wszystkim daleko mniej dałby się uprosić, niż całkiem sztucznie wytworzona mowa.

Na domiar taka reforma zniszczyłaby do szczętnie główny argument, podawany przez zwolenników łaciny i zadałaby cios śmiertelny najgorętszym ich życzeniom; albowiem ci, którzy takiego rozwiązania kwestji J. M. pragną, czynią to jedynie w celu wskrzeszenia obumarłej tradycji, a zarazem pragną pogodzić studia klasyczne z naukami przyrodniczymi. Ten nowy język łaciński byłby chyba tylko z nazwy podobny do mowy Wirgiljusza. Wskutek takiego postępowania, wykształcenie humanistyczne nie-

tylko, że nie zostałoby nowym życiem obdarzone, ale przeciwnie zrujnowanoby je zupełnie z powodu zespolenia jego z nauką barbarzyńskiego języka, na który żaden z łacinników nie byłby się nigdy zgodził.

Zwolennicy i obrońcy studjów klasycznych, do których i ja należę, mieliby jedyny środek do uratowania nauk, przez siebie wysoko cenionych, wobec wzrastającego spółzawodnictwa ze strony wiedzy pozytywnej, realnej — mianowicie w walce jak najgorętszej, o przyjęcie i wprowadzenie J. M., któryby uwolnił od konieczności ślęczenia nad kilku językami obcymi, a czas, uzyskany w ten sposób, można byłoby użyć, albo na pogłębienie nauki języków starożytnych i literatury klasycznej, albo na zdobycie wiadomości z dziedziny wiedzy pozytywnej.

Taką drogą dałoby się także najskuteczniej zaradzić złemu, usuwając programy przeciążające zbytecznie siły młodzieży w szkołach średnich wszystkich krajów i stąd wynikające przepracowanie i ogłupienie, a również zapobieżonoby skutecznie bezpłodnej, bo powierzchownej wielowiedzy, nad którą tak słusznie ubolewają pedagogowie.

Wszystko, coby się dało powiedzieć na korzyść języków: greckiego i łacińskiego, zawiera się w tym, że z nich poczerpnięto źródłosłowy dla większości nazw naukowych i technicznych, słuszną więc będzie rzeczą, ażeby J. M. zapoyczył od nich słownictwo naukowe, które i tak jest już w znacznej mierze międzynarodowym.

Mamy atoli obowiązek wystrzegać się wszelkiej wyłączności w tym kierunku i nie powinniśmy czerpać wszystkich pierwiastków językowych z martwych tylko narzeczy, słownik taki nie byłby dostatecznie międzynarodowym, dla tych szczególnie, którzy innego języka prócz ojezystego nie znają, nie byłby on ponadto prawdziwie neutralnym, bo uwzględniałby zbytecznie języki ludów romańskich, z tej racji mogliby Germanowie i Słowianie na niego się nie zgodzić. W dalszym ciągu wyjaśnimy, w jakiej mierze i na jakiej zasadzie mogłyby źródłosłowy grecko-łacińskie i powinnyby nawet zająć miejsce w słowniku J. M. W wyrazach zaś, przeznaczonych na użytk języka potocznego, byłoby rzeczą pożądaną, ażeby J. M. był najbardziej zbliżony do języków nowożytnych, co jest, jak udowodnimy w rozdziałach następujących, najzupełniej możliwym.

To, co się powiedziało o językach martwych, da się też zastosować i do projektów, mających na celu uproszczenie i uregulowanie któregokolwiek z języków nowożytnych, ażeby go zdatnym

*) To też Saoul de la Grasserie podał wniosek, ażeby brać pierwiastki i źródłosłowy do J. M. z języka greckiego.

uczynić na J. M. Przedewszystkim nie odpowiadałby taki język najważniejszemu warunkowi neutralności, następnie taka mowa byłaby nawet dla narodu, od którego ją zapożyczono — zupełnie niezrozumiałą, tak że sam ów naród uprzywilejowany pierwszy sprzeciwiłby się jego przyjęciu. Rzeczą jest wszystkim znana, na jaki opór ze strony zwolenników tradycji natrafia najmniej-

szą zmianą w zakresie ortografji i składni, tak że łatwiej bez porównania byłoby wprowadzić całkiem nowy język, niż uznać mowę własną okaleczoną, czyli uproszczoną za język międzynarodowy, nie mówiąc już o tym, że język sztuczny byłby w każdym razie daleko prostszy, bardziej prawidłowy, co najważniejsza, byłby w istocie międzynarodowy. (C. d. n.)

NA KOREI.



Budowa kolei żelaznej z Seoulu do Fusanu.

Fusan, jeden z 8 portów koreańskich, leży na południowo-wschodnim wybrzeżu. Do r. 1900 żaden z portów koreańskich nie posiadał połączenia kolejowego ze stolicą Seoulem, obecnie, od czasu wydania koncesji kolejowych, wiele już zrobiono w tym kierunku. Kolej z Seoulu do Fusanu finansują Japończycy, którzy po ukończeniu tej budowy, będą mogli przerzucić swoją armję do stolicy Korei w przeciągu 30—40 godzin.



Inteligencja P. Jacquot opowiada następujący przykład u zwierząt. inteligencji konia. „Ojciec mój posiadał konie dobrej rasy. Pewnego dnia, po skoń-

czonym objeżdżaniu jednego z nich, stangret posadził mu na grzbiet moją malutką siostrę. Koń musiał przechodzić przez ciasny przesmyk między dwiema ścianami. Wtym dziewczynka traci równowagę i spada pod konia, który nie mógł się ani posunąć naprzód, ani w tył, gdyż zdeptałyby siostrę, ani też odsunąć się na bok, gdyż przeszkadzały temu ściany. Cóż tedy koń robi? Oto podnosi jedną z przednich nóg, dając w ten sposób możliwość stangretowi dostania się do dziewczynki i wyciągnięcia jej z pod niego.“

A oto drugi przykład. Randon, gospodarz niewielkiej fermy, opowiada następujące zdarzenie: „Kura, mająca pisklęta, miała zwyczaj prowadzić je codziennie do kupy nawozu, oddzielonej od fermy podwórzem.

Obejrawszy się, zauważyłem orła, bujającego nad fermą. Matka-kura, zrozumiawszy, że niema już czasu na schronienie się do domu, schowała kurczęta pod słomę, a następnie przykryła każde z nich suchym nawozem. Zasłoniwszy je w ten sposób od wzroku orła, wolno wraz z nimi posuwała się przez podwórze ku fermie, zwracając głośnym gdakaniem uwagę szybującego ptaka tylko na siebie. Co zaś jeszcze dziwniejsze, że kurczęta, jakby zrozumiawszy grożące niebezpieczeństwo, zachowywały się zupełnie cicho." *hr.*

—❀—

Słodkie ziemniaki. Jeden z uczestników zjazdu niemieckich przyrodników i lekarzy w Kassel, zwraca uwagę odpowiednich sfer przemysłowych na ziemniaki, t. zw. słodkie; ojczyzną ich jest wyspa Sao Miguel (Azorskie). Po zmieszaniu z mąką pszeną daje się otrzymać z nich produkt o wybornym smaku, przytym ziemniaki te zamieniają gatunki mąki, nie zdolne do wypieku, na przydatne dla piekarń. Jeden hektar wyspy przynosi przeciętnie do 30,000 kg. ziemniaków; używa się ich tutaj za pokarm i do otrzymania spirytusu. Ogółem wyspa produkuje do 75 milionów kilogramów, z których 45 milion. idzie na fabrykację spirytusu. Prelegent zachęca do uprawy tego gatunku ziemniaków w Niemczech. *N.*

—❀—

Plantacje w państwach półwyspu Bałkańskiego dały w roku ubiegłym plon niezwykle obfity; z tego powodu i ilość wyprodukowanego olejku różanego była tak wysoka, jakiej dotychczas w tych krajach nie notowano; osiągnęła ona liczby 10,200 kilogr., z czego część większa przypada na Bułgarię i Turcję; reszta na Serbję, Grecję i in. Pomimo obaw niżki i niepewnego położenia politycznego, zapotrzebowania były tak silne, że cena pozostała bez zmiany, wahając się pomiędzy 580 i 620 fr. za kilogram. *N.*

—❀—

Oświetlenie Z pomiarów, dokonanych przez prof. H. ulic. Drehschmidta nad palnikami gazożarówemi i lampami elektrycznymi łukowemi, oświetlającymi ulice Berlina, okazało się, że z intensywnych palników gazowych można otrzymać światło bardzo silne, najzupełniej wytrzymujące konkurencję z lampami łukowemi. Pozatym światło gazowe jest cieplejsze i ma przyjemniejszy odcień od łukowego. *N.*

—❀—

Świecące Już w roku 1592 zauważono i opisywano zjawisko. wisko świecenia mięsa, nie umiano jednak istoty jego dokładnie sobie wytłómaczyć. Prof. Hans Molisch z Pragi w celu rozwiązania tej kwestji poddał próbom kilka gatunków mięsa, umieszczonego w słonej wodzie. Okazało się, że świecenie powoduje lasecznik *Micrococcus phosphoreus Cohn*. Jest to organizm, rozwijający się najlepiej w t. 16°, a zamierający już przy 30° po 48 godzinnym przetrzymaniu w odżywczej żelatynie. Młode kultury lasecznika tego mają w temperaturach od 5° do 20° świecić tak silnie, że nawet daje się w ciemnym pokoju widzieć niebieskawo-zielone światło, przez nie wywołane. *N.*

—❀—

Solidarność Często utrzymują, że ptaki, o ile zabrać im u ptaków. młode i położyć je do klatki, dbają przez pewien czas o swoje pisklęta, następnie je-

dnak zabijają je lub zatruwają, jakby przenosząc ich śmierć nad niewolę. Pragnąc sprawdzić wiarogodność tego mniemania, J. Dybowski wykonał następujące doświadczenia, które podał w jednym z zagranicznych tygodników, poświęconych naukom przyrodniczym.

„Sikora czarna (*Parus major*), założyła gniazdo na poddaszu, w pustym pudle od kwiatów, napół przykrytym deską. Z chwilą, kiedy małe zaczęły się pierzyć, wziąłem je z gniazda, aby przenieść do klatki. Podczas tych przenosin ptaszki wydawały piski przerażenia, które przywabiły ich rodziców. Kiedy, włożwszy pisklęta do klatki, oddaliłem się od nich, zauważyłem, że stare zaczęły znosić młodym pożywienie. Jakież jednak było moje zdziwienie, kiedy spostrzegłem, że sikorom pomagają w zbieraniu gasienic popik (popiek słowik murowy, *Motacilla phaenicurus*). Przez cały czas, dopóki młode nie wyrosły, gorliwość opiekunów nie zmniejszyła się ani trochę, chociaż po pewnym czasie zaczęłem sam dawać pożywienie pisklętom.

Mniemanie zatym, jakoby stare zabijały lub zatrzuwały swe młode, znajdujące się w niewoli, okazało się błędnym. Prawdopodobnie, przyczyną śmierci piskląt bywali sami obserwatorzy przez nieodpowiednie karmienie uwieczonych ptaków.

Było jednak rzeczą ciekawą, czy objaw solidarności, zauważony przezemnie u ptaków, był faktem pojedynczym, czy też powtarza się zawsze we wszystkich wypadkach analogicznych.

W kilka dni zdarzyła mi się sposobności zaobserwować drugi podobny fakt. Kiedy dowiedział się o innym gnieździe sikory modrej (*Parus caeruleus*) z pisklętami, włożyłem je do klatki natychmiast po opierzeniu. Rodzice jednak pomimo pisków dzieci, nie oparli się. Natomiast, ku swojemu zdziwieniu, zauważyłem, że rolę rodziców wzięły na siebie sikory czarne i popiki, spełniając ją sumiennie dotąd, dopóki pisklęta nie mogły same się żywić.

Te proste doświadczenia pozwoliły mi przekonać się, jak prędko ptaki przyzwyczajają się do niewoli, zwłaszcza, jeśli zacząć od ich najmłodszych chwil. Wypuszczono na wolność, ptaki moje zawsze wracały do klatek. Czy wobec tego nie wystarcza przyzwyczajenie 2 lub 3 pokoleń do niewoli, aby mieć ptaki zupełnie oswojone, jakimi są obecnie, nap. gołębie?“ *hr.*

—❀—

Kronika pogody. Tydzień ubiegły zaznaczył się u nas równomiernym stanem pogody; raz tylko padał deszcz drobny (14-go) i raz jeden śnieg (18-go). Poza tym było pogodnie, sucho, pomimo silnego zachmurzenia nieba.

W Europie w ciągu tego czasu temperatura była powyżej normy; nawet na południo-wschodzie, gdzie poprzednio panowały silne mrozy, notowano w ciągu ostatnich dni odwilż, a na północy spadły śniegi.

Pod względem ciśnienia zaznaczyć należy cyklony, przesuważające się z północo-zachodu ku wschodowi; środki depressji przechodziły z Irlandji na ląd europejski, mijając morze Niemieckie, Danję i Norwegję.

W dniu 18-ym b. m. ukazała się we Włoszech nowa depressja barometryczna, przesuważająca się ku północy. W Warszawie ciśnienie wzrastało bezustannie,

powodując brak deszczu lub śniegu, a gęste chmury, zatrzymując ciepło ziemi i nie pozwalając na silne promieniowanie, przyczyniły się do wysokiej temperatury, stojącej powyżej zera (do $+ 3^{\circ} \text{C}$). G. T.



I.

Pozorny kształt sklepienia niebieskiego.

Gdy стоимy na wzniesieniu, z którego da się z łatwością oglądać całe sklepienie niebieskie, na pierwszy rzut oka dochodzimy do przekonania, że sklepienie to nie sprawia na nas bynajmniej wrażenia półkuli, wewnątrz wydrążonej, lecz odcinka kulistego, u góry nieco spłaszczonego. Gdy przetniemy jakiś przedmiot kulisty, np. piłkę, przez sam środek, otrzymamy dwie półkule, równe sobie; przecinając tę samą piłkę nie przez środek, lecz obok tego punktu, mieć będziemy dwa nierówne odcinki, z których mniejszy da nam lepsze wyobrażenie o pozornym kształcie sklepienia niebieskiego, niż półkula. Spostrzeżenie to znajdujemy również w 8-iej księdze „Pana Tadeusza“:

„Całe grono z posępną i cichą postawą
„Pogląda w niebo, które zdawało się zniżać,
„Ścieśniać i coraz bardziej ku ziemi przybliżać.

Innemi słowy, gdy patrzymy wprost przed siebie, wtedy odległość nasza od sklepienia niebieskiego wydaje nam się większa, aniżeli w tym wypadku, gdy wnosimy wzrok ku górze; że jest to złudzenie wzrokowe, łatwo można wywnioskować choćby z tego, że w rzeczy samej sklepienie wcale nie istnieje; wzrok nasz może rozróżnić przedmioty bliższe i dalsze tylko na pewnej odległości, a gdy odległość ta przekroczy granicę, wszystkie przedmioty wydają się nam jednakowo oddalone. Stąd wytwarza się pojęcie o istnieniu sklepienia i o jego kulistości. Wszakże z przyczyn, które i dziś nie są jeszcze należycie wyjaśnione, sklepienie to wydaje się niezupełnie kulistym, lecz nieco spłaszczonym. Już Ptolemeusz w *Almageście* zauważył, że w związku z tym pozornym kształtem sklepienia znajduje się znany powszechnie fakt, iż w bliskości poziomu tarczy słońca i księżycy wydają nam się znacznie powiększone, a badania późniejsze potwierdziły ten pogląd w zupełności. Pozorne spłaszczenie sklepienia powoduje liczne błędy przy ocenianiu na oko wysokości ciał niebieskich, gdy pomiary przy pomocy narzędzi są niemożliwe. Astronomowie są dobrze obeznani z temi błędami, a jako przykład najlepiej przytoczyć dane, dotyczące meteoru, spadłego w Niemczech w r. 1870. Gdy meteor, o którym mowa, znajdował się na wysokości 21 stopni nad poziomem, większość obserwatorów oceniała tę wysokość na 45° ; zamiast 10 i 19 stopni notowano 30, zamiast 5

stopni—10 i t. p. Średnio biorąc, podawano zwykle wysokość dwa razy większą, niż była w rzeczywistości.

Próby wyjaśnienia pozornej postaci sklepienia niebieskiego i zwiększania się tarczy słońca i księżycy przy poziomie — były robione w czasach bardzo odległych; już Alhazen i inni astronomowie arabscy starali się wyjaśnić spłaszczenie sklepienia niebieskiego tym, że różne przedmioty, znajdujące się na ziemi, wpływają na pozorne zwiększenie odległości w kierunku poziomym, gdy w kierunku pionowym zauważone przez nas przedmioty wnoszą się nader nieznacznie. Hipoteza ta została wkrótce obalona, a jej miejsce zastąpiła hipoteza „perspektywy powietrznej“, po raz pierwszy postawiona przez angielskiego uczonego Berkeleygo na początku XVIII stulecia, a następnie wznowiona i szczegółowo przez Helmholtza opracowana. Jeżeli jakiś przedmiot widzimy przez coraz grubszą warstwę powietrza, tym niewyraźniej zarysowują się jego kontury i przeciwnie, jeżeli widzimy przedmiot niewyraźnie, wtedy wydaje nam się, że dzieli nas grubsza warstwa powietrza, t. j. że przedmiot ten znajduje się od nas dalej, a ponieważ w rzeczywistości odległość tą bynajmniej nie zwiększyła się, czyli kąt widzenia pozostał ten sam, więc jesteśmy skłonni uważać ten przedmiot za powiększony. Mnóstwo zjawisk, spotykanych w przyrodzie, potwierdza to przypuszczenie. W czasie mgły postacie ludzkie wydają nam się powiększone, gdyż, nie mogąc dostrzec szczegółów, sądzimy, że znajdują się od nas daleko; tymczasem ponieważ kąt widzenia pozostał niezmiennym, wyobrażamy sobie postacie znacznie większych rozmiarów. Podobnie odległe góry wydają nam się tym bliższe i niższe, im powietrze jest czystsze i przezroczystsze; we mgle też same góry wydają się znacznie wyższe. Słońce i księżyc, gdy są blisko poziomu, wydają nam się mniej wyraźne, niż na znacznie wyższych wysokościach, gdyż promienie światła przechodzą przez grubszą warstwę atmosfery, a ponieważ wielkość kąta, pod jakim widzimy te ciała niebieskie, nie zmienia się, powstaje złudzenie, że są one większe na poziomie, niż na znacznie wyższych wysokościach. Hipoteza Helmholtza nie rozwiązuje wszakże kwestji ostatecznie, gdyż zostaje niewytłómaczonym jeszcze pytanie: dlaczego słońce lub księżyc, zasłonięte mgłą lub lekką chmurą, wydają nam się takich samych rozmiarów, jak i przy atmosferze przejrzystej? Oczekiwaćby tu należało powiększenia tarczy tymbardziej, że wpływ atmosfery u poziomu jest mniejszy, aniżeli np. gęstej mgły lub chmury, przepuszczającej promienie słońca na pewnej wysokości.

Najnowsza hipoteza Zotha tłumaczy zjawiska powiększania się słońca i księżycy przy poziomie z odrębnego punktu widzenia, przyczyn nie kształt sklepienia niebieskiego powoduje, według Zotha, pozorne zwiększanie się ciał niebieskich, jak to sądzą twórcy poprzednich hipotez, lecz obydwie te zjawiska mają wspólną przyczynę: kierunek, w jakim patrzymy. Gdy patrzymy przez szkła zakopcone lub kolorowe na księżyc i słońce, zachodzi również powiększenie tarczy na poziomie pomimo, że w danym przypadku nie można sądzić, ażeby przez porównanie z otaczającymi przedmiotami księżyc wydawał się dalej, gdy znajduje się na poziomie, aniżeli gdy jest wyżej. Z tego Zoth wywodzi wniosek, że przyczyna złudzeń leży bynaj-

mniej nie w perspektywie powietrznej, lecz jest zależną od tego, w jakim kierunku patrzymy na niebo. Zmieniając kierunek widzenia, możemy np. osiągnąć to, że księżyc, bliski poziomowi, wyda nam się mniejszym. W tym celu Zoth kładł się na ziemi i patrzył ku górze przez czas dłuższy; niebo wydawało mu się jakby pogłębione w tym kierunku, a przeciwnie, patrząc przez czoło ku poziomowi, doznał wrażenia, że horyzont jest znaczenie zbliżony, innemi słowy, człowiekowi, leżącemu na ziemi, złudzenia wzrokowe ukazują się w formie zupełnie odmiennej.

Różne hipotezy, starające się wyjaśnić przyczynę pozornego spłaszczenia sklepienia niebieskiego oraz zwiększenia tarczy słońca i księżyca na poziomie (zarówno planet jak i gwiazdozbiorów), nie wyjaśniają całkowicie tego zjawiska. Choć jest ono napozór niezmiernie proste, wszakże najętsze umysły nie zdołały jeszcze rozwiązać ostatecznie pytania: *dlaczego słońce i księżyc na poziomie wydają nam się większe, niż na innych wysokościach?*

Przy niektórych postrzeżeniach astronomicznych, np. przy oznaczaniu na oko wysokości ciał niebieskich (np. meteorów, planet i in.), należy pamiętać o tym, że spłaszczona postać sklepienia prowadzi do częstych omyłek, jak to na wstępie niniejszego rozdziału widzieliśmy.

Gabrjel Tolwiński.

Kronika Esperantyczna.

„Progresado
estas vivo.“



„Restado
estas morto.“

(Ciąg dalszy.)

Esperantysty najwybitniejsi. Jednym z najświetniejszych dowodów, świadczących wymownie nie tylko o niezwykłym znaczeniu, lecz i o coraz to większym rozwoju języka Esperanto—jest bardzo poważny zastęp pierwszorzędnych uczonych wszech narodów i krajów, którzy należą do najgorętszych zwolenników tego języka. Podajemy poniżej adresy niektórych z nich:

Adam Charles, czł.-koresp. Akademii Francuskiej i Rektor Uniwersytetu w Nancy. *Adelsköld Cl.*, poseł do Parlamentu Szwedzkiego i Czł. Król. Akad. Nauk w Stockholmie. *Appel Paul*, Czł. Franc. Akad. Nauk, w Paryżu, Rue Bonaparte, 17.—*d'Arsonval*, Czł. Akad. Franc. Nauk i prof. „Collège de France“, w Paryżu. — *Balle Emil*, Czł.-Koresp. Król. Akad. Nauk w Barcelonie, a Vire (Calvados), Place Saint Thomas, 14.—*Balint Gabor*, znakomity lingwista i Prof. Uniw. w Kolozsvárze (Węgry). *Boirac E.*, Rektor Uniw. w Dijon.—*Brouardel P.*, Czł. Akad. Franc. i Honorowy Prezydent Paryskiego Fakultetu Medycznego.—*Cled.t.*, Dziekan Wydziału Literackiego i Prof. Filologii w Uniw. Ljońskim oraz Redaktor: „Revue de Philologie Française.“—*Duclaux Emil*, Czł. Akad. Franc. Nauk w Paryżu, rue Dutot, 25.—*Edelsvärd A. V.*, Wice-Prezydent Szwedzkiej Akad. Król. Sztuk Wyzwolonych w Stockholmie.—*Foveau de Courmelles*, Prezydent de la „Société de Gens des Sciences“, w Paryżu, Rue de Chateaudun, 26. — *Hannequin*, Czł.-Koresp. Akad. Franc. i Prof. Uniw. w Lyonie—*Hurion*, Dziekan Uniw. w Dijon. — *Joubin*

Dziekan Uniw. w Besançon.—*Laisant A. C.*, Profesor-Egzaminator Instyt. Politechnicznego w Paryżu, Avenue Victor Hugo, 162.—*Legouis E.*, prof. języka i liter. angiels. w Uniw. Ljońskim — *Lépine J. R.*, Czł.-koresp. Akad. Franc. i Prof. Uniw. w Ljonie.—*Méray Charles*, Czł.-koresp. Akad. Franc. i Prof. Uniw. w Dijon. — *Müller Max*, najsłynniejszy ze współczesnych lingwistów, Prof. Uniw. w Oxfordzie, zm. r. 1900*). — *Naville Ernest*, Czł.-koresp. Akad. Franc. i Dziekan honor. Uniw. w Gienewie, Cour des Bastions, 15.—*Ostwald W.* Prof. Uniw. w Lipsku i Redaktor roczników: „Annalen der Naturphilosophie.“—*Phillips Henry, jr.*, Sekretarz generalny Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego, w Filadelfji oraz autor Podręcznika do Nauki Esperanto dla Anglików i Amerykanów. — *Ramsay William*, Czł. Londyńskiego „Royal Society“ i Prof. Uniw., tamże.—*Réclus Elisée*, słynny geograf i prof. uniwersytetu w Brukseli, rue Ernest-Allard, 35.—*Recoura Albert*, Dziekan Uniw. w Grenoble. — *Richet Charles*, Czł. Parys. Akad. Medycy i Redak. Przeglądu: „Revue Scientifique“, w Paryżu. *Saint-Loup Louis*, Dziekan honor. Uniw. w Besançon — *Sebert*, generał, Czł. Franc. Akad. Nauk w Paryżu, rue Brémontier, 14. — *Stead W. T.*, Naczelny Redaktor słynnego miesięcznika: „The Review of Reviews“, w Londynie i główny współpr. organu esperantystów angielskich: „The Esperantist“, tamże.—*Tolstoj Lew hr.*, słynny pisarz i filozof rosyjski, w Jasnej Polanie pod Tułą. — *Verne Juljusz*, słynny autor podróży popularno naukowych. — *Villarcal Federico*, Dziekan Uniw. oraz Prof. Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lima (Peru) i t. d., i t. d.

Moglibyśmy oczywiście przytoczyć tu ogrom jeszcze nazwisk esperantystów, mniej może znanych w świecie naukowym, choć niemniej zasłużonych; moglibyśmy wymienić setki (literalnie: setki) profesorów różnych uniwersytetów i wyższych zakładów naukowych, którzy propagują jak najgoręcej język Esperanto. Sądzimy, jednak, że i te już iniona, które przytoczyliśmy wyżej, aż nadto wystarczą, by przekonać naszych pesymistów, że język, którym tak gorąco zajmuje się tylu znakomitych uczonych, publicystów, literatów, nie może być stanowczo lekceważony przez nikogo. *abb.*

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu J. S. Spisu wynalazków w języku polskim dotychczas nie wydawano. Zagranicą wychodzą czasopisma, poświęcone opisom nowych rzeczy w dziedzinie mechaniki, chemji i t. d, a i nasze specjalne pisma (np. „Chemik polski“) posiadają „działy patentowe“, zawierające opisy ważniejszych wynalazków. Stale drukuje takie spisy Departament Przemysłu i Handlu przy Ministerjum spraw wewnętrznych, wydający przywileje na wynalazki.

*) Był on członkiem *Francuskiego Towarzystwa dla Propagandy języka Esperanto*, a nader przychylnie jego zdanie o tym języku drukowano tysiącokrotnie we wszystkich krajach europejskich, jeszcze za życia jego.

OD REDAKCJI.

„Konkursy wakacyjne“ ogłoszone w Nr. 21 z r. z., z dniem 13 stycznia r. b. zostały zamknięte. O rozstrzygnięciu i rezultatach zawiadomimy w Nr. 8 tygodnika „Naokoło Świata.“

Pocztówki „Naokoło Świata”

szafka 2 kop.
tuzin 20 „ z przes. 30 kop.
setka 100 „ „ 1.30 „

Do nabycia w Administracji, Wspólna 71.

Do nabycia w Administracji tygodnika „Naokoło Świata“ następujące książki esperantyczne.

L. Zamenhof. Egzercaro de la lingvo internacia Esperanto. (Ćwiczenia systematyczne w języku Esperanto) kop. 30

L. Zamenhof. Słownik uniwersalny języka międzynarodowego Esperanto „ 40

Traduco de la egzercaro de la lingvo internacia Esperanto (Klucz do ćwiczeń) „ 20

„O języku międzynarodowym Esperanto“ bezpłatnie jako dodatek do 3 wymienionych broszur.

Na przesyłkę pocztową należy dołączyć 15 kop. za zaliczeniem o 10 kop. drożej.

11-ty i 12-ty zeszyty „Życia zwierząt“ roześlemy przy numerze następnym.



SKŁAD ARTYKUŁÓW FOTOGRAFICZNYCH
J. i W. KASPRZYCKIEGO
w Warszawie, Nowy-Świat № 45.

Poleca: najnowszych systemów aparaty, klisze i wszelkie materiały, w zakres fotografii wchodzące. Posiada własne laboratorium oraz altanę. Wykonuje: zdjęcia, wywoływanie klisz, kopjowanie, retuszowanie, powiększanie etc. etc. Wyrabia: wywoływacze, utrwalacze, wiraże—fiksaze, pocztówki 144 i t. p. **Najtańsze źródło.** 52—2

DLA TEGO NAJTANIEJ! dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, kołdry watowe i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety, utrechty itp. **ŻE NA I-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego**. Marszałkowska № 112, I-e piętro, przy ulicy Chmielnej. 138 24—4

Treść № 4: Zmujdź i Żmujdzini (ciąg dalszy—z rysunkami) przez *Michała Brensztejna*. — Surowice w leczeniu gruźlicy przez *dr. Z. Grudzińskiego*. — Indje (ciąg dalszy) w przekładzie *Józefa Janówskiego*. — Panorama ludów (z rysunkami) przez *am.* — O języku międzynarodowym powszechnym (ciąg dalszy) przez *prof. dr. L. Couturata*. — Na Korei (rysunek) — Echa z dziedziny przyrody. — Astronomi-amator przez *Gabryela Tołwińskiego*. — Kronika Esperantyczna (ciąg dalszy) przez *abb.* — Odpowiedzi Redakcji. — Od Redakcji. — Ogłoszenia.

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści:“ Biały wódz. Opowiadanie z życia mieszkańców Ameryki Środkowej przez *Mayne Reid'a* (str. 65—72).—Azja w płomieniach, powieść *Féli-Brugière* i *Louis Gastine*, tłumaczyła *A. Wodzińska* (str. 33—40).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata:“ w Warszawie rocznie *rb. 4*, półrocznie *rb. 2*, kwartalnie *rb. 1*. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie *rb. 5*, półrocznie *rb. 2.50*, kwartalnie *rb. 1.25*. Zagranicą rocznie *rb. 6*; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści:“ w Warszawie rocznie *rb. 6*, półrocznie *rb. 3*, kwartalnie *rb. 1 kop. 50*—Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie *rb. 7 kop. 50*, półrocznie *rb. 3 kop. 75*, kwartalnie *rb. 1 kop. 88*. Za granicą *rb. 9*.— Za odnośnienie do domu *15 kop.* kwartalnie.—Zmiana adresu *kop. 20*.—Cena numeru *kop. 10*.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.	Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ulica Wspólna Nr. 71.	Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.
---	---	---

W sprawach redakcyjnych zgłaszać się można do Redakcji w poniedziałki, środy i piątki od godz. 4—5 po południu.
Wydawca: **Antoni Orlowski.** Za redaktora: **Antoni Orlowski.**